

SCHODY #1

komunikacja między poziomami



komunikacja między poziomami

OTWARCIA

ciasna klatka, ale chroni Abi Kruszyk	3
tożsame i wbrew sobie Abi Kruszyk	4
Zapominam Emilia Brulińska	5
W akwariu Emilia Brulińska	6
Sen Kamienia Julia Połynko	7
Lustro Julia Połynko	8
Afamia Aleksandra Bradel	9
emigracja wewnętrzna Aleksandra Bradel	10
Samokształtowanie Faustyna Jasek	11
Jadę do ciebie tramwajem... Marcin Gościcki	13
To nie przestępstwo, to moje hobby Ula Wilczewska	17
Perseidy Olga Sapiechowska	20
Łabędź Marcin Noras	23
Narodziny Helena Rojek-Osowska	26
Dzień Graniczny Aleksandra Kenaz	27

Raz mi powiedział

Inicjacje są zawsze najgorsze
Ze zmianą nic się nie zmienia
A tożsamość?
To nie do mnie z tym problemem

Pamięci J.K.

ciasna klatka, ale chroni

Abi Kruszyk

kto wyjmie mnie z szafy, gdy skończy się wojna?
siedzę w cieniu szczelnie skulona,
a w nowym świecie odzywa się stara ja.
przeczesuje teren i groźnie wygląda.
głowa chybocze się na sprężynie.

tworzę wrogów z przyzwyczajenia
i znów zapominam patrzeć w niebo.
wiele lat moje życie toczyło się wewnątrz.
więc jak mam nie wzdrygać się przed światłem?
dzielnie amputuję strach, ale są powikłania.

jak żyć w świecie bez ciągłego zastaniania?
kiedy przyswoję ten rozdział
i przestanę sabotować własne szczęście?

słońce pali trawę, piasek,
ptaki wolne od mrozu śpiewają.
zło nie zdołało mnie wytropić, jestem za daleko,
ale ciągle go szukam i rzeźbię mu twarz,
bo wygodny mam kąt w tej szafie.

tożsame i wbrew sobie

Abi Kruszyk

kim jestem...
gdy wyświeiliłeś cztery dni temu.
gdy nie dzieje się tak, jak planowałam.
gdy męczy mnie najgłupsza piosenka podczas medytacji.
kim jestem, gdy bywam osobą, którą nie chce?

nie zgadzam się na porażki,
przychodzą niechciane.
pychą byłoby je odrzucić.
ta sinusoida skrajnych uczuć mnie nęka.
wróży mi życie i śmierć na raz.

czego mam się trzymać, gdy jestem związana
ze wszystkim co znika tak szybko?
egzystencja zapisana na piasku,
serce rodzące biegunowe cele.

ucięłam wszystko co mi nie służy
i tnę to dalej bez oporu.
zaraz tylko ja będę swoją rodziną.
drzewo wysokie, ale nic go nie trzyma.

Zapominam

Emilia Brulińska

nie chciałam nic robić przez siedem miesięcy
nie chciałam patrzeć czuć nie chciałam być
nawet w miejscach o których nie miałam
pojęcia niby coś zmieniałam codziennie zmieniałam zdanie
mówiłam że jestem już inna
nie popełnię tych samych błędów a po tygodniu kończyłam
siedząc z nim na kanapie przytulona gdzieś byłam coś zobaczyłam
a każdemu powtarzałam
że nienawidzę mężczyzn nienawidzę cały czas czuć
nikt by mi nie uwierzył gdybym zaczęła
mówić głośno

a dzisiaj coś piszę coś stukam wychodzę lubię
zaczynam powoli kochać otwierać zamknięte
dopytuję rozglądam się szukam

staram się codziennie trochę zapominać

W akwariu

Emilia Brulińska

nigdy nie wiedziałam, kim zostanę w przyszłości,
gdzie będę mieszkać, o czym pisać po czasie
wszystko zaczęło się wylewać, tworzyć kształty
z wosku w andrzejki
chciałam być tancerką modelką prawniczką mamą
człowiekiem poetką chciałam pracować w zoologicznym
karmić rybki potem być rybką wypuszczoną do wody

nigdy nie wiedziałam kim zostanę w przyszłości
wylewam wciąż słowa segreguję szukam
błądę i wracam do niego do domu do miejsc
nie ma nikogo

nigdy nie wiedziałam kim zostanę w przyszłości
mam nadzieję że pewnego dnia
wrócę

zostanę sobą

Sen Kamienia

Julia Alicja Połynko

1.

nocą nim stanę się
śniącym kamieniem
chłodnym w objęciach
twojej nieobecności

myślom pozwalam
mięknąć do woli
w uściskach twoich
nietykalnych ust

refren:

zerkam na ciebie
wargami naga
nieśmiałek z ciebie
nie odpowiadasz

rzucam na szyję
zielone oczy
brąz odpowiedzi
jest znakiem groźby

że już za chwilę
uobecnisz się
w śnie

2.

dziś znowu sama
zachłyśnięta nocą
połykam hausty
tęsknoty za tobą

sypiam na jawie
śniąca jawnogrzesznica
lubieżna tonę
w słonym lubię łez

refren:

zerkam na ciebie
wargami naga
nieśmiałek z ciebie
nie odpowiadasz

rzucam na szyję
zielone oczy
brąz odpowiedzi
jest znakiem groźby

że już za chwilę
uobecnisz się
w śnie

3.

kochać bez drugiego
to ciało mieć święte
śnięte w czerni
pośród cierni samo... samotności

refren:

zerkam na ciebie
wargami naga
nieobecnością
mi odpowiadasz

rzucam na szyję
zielone oczy
brak odpowiedzi jest
znakiem groźby

że już za chwilę
znajdę w kołdrze
brak ciebie

Lustro

Julia Alicja Połynko

Jestem taka na twarzy przez wieczność jak w środku na moment.
Lustro kreśli emocjonalne karykatury.
Odbija mnie dość brutalnie, więc się przed nim nie uzewnętrzniam.
Dopóki stoję po swojej stronie, wie o mnie niewiele więcej niż inni.

Jestem ulepiona z ciała, które tworzy pałace dla bezpańskich przekonań.
One są jedynie chwilą, a raz zbudowany obiekt stoi dziesiątki dni, miesiące i lat.
Zakwaterowałam mnóstwo osobowości bezpałacowych.
I jak do tej pory – żadna z budowli nie stoi pusta.
Tylko ja, wciąż nie wiem gdzie mieszkam.

Chwilami pomieszkuję w odbiciu lustra, w lustrze rzeki i w nedorzecznym spojrzeniach.
Czuję, że rozbijam namiot w locie pomiędzy i zasypiam.
Żyję w sposób namacalny tylko przez chwilę.
Widzę nieskonkretyzowaną siebie, odbitą jak stempel na kartonikach konkretów.
To one poświadczą, że tu byłam, kiedy wieczność wciągnie mnie na drugą stronę lustra.

Afamia

Aleksandra Bradel

ta dziewczyna wiedziała że spotka ją wiele dobrego
prawdopodobnie nie wiedziała jednak że
związek z mężczyzną z bliskiego wschodu
oznacza późny zmierzch bliskość serca silną więź

samotność zachodu stała się jej obcą
martwą istotą

poczułam ulgę

emigracja wewnętrzna

Aleksandra Bradel

mieszkam w Polsce
ale wybrałam Ciebie
który nie jesteś Polakiem

który jesteś Syryjczykiem
z którym jestem tak blisko
jak nigdy wcześniej z nikim nie byłam
i wierzę że nigdy nie będę
nawet jeśli umrzesz przedwcześnie

ale do sedna wybrałam więź rodzinną
ponad wszystko inne bo wybrałam Ciebie
który nie jesteś Polakiem

wyemigrowałam wewnętrznie
nikogo nie przeproszę

Samokształtowanie

Faustyna Jasek

Dostałam w prezencie puzzle. Rozbudowany zestaw, fragmenty można by liczyć w tysiącach. Nie zdążyłam jeszcze nauczyć się lęku przed porażką, zadanie przyjmuję więc ze spokojem i uśmiechem na ustach. Z ekscytacją przeglądam mnogość kolorów, chwytam garściami maleńkie kawałki i pozwalam im przesypywać się przez palce – upojona wizją tego, jak z mnisią cierpliwością układam z nich prawdziwy obraz, wyobrażam sobie, jak mógłby wyglądać. Ta wizja nagli mnie do działania i z rumieńcem daję się temu uczuciu porwać. Mój wzrok od razu wychwytuje fragmenty z najmocniej zarysowanymi konturami i początkowo wręcz z namaszczeniem wydaję je z pudełka. Podoba mi się, jak abstrakcyjne wzory powoli przeistaczają się w konkretne kształty, nabierają sensu, znaczenia. Z miłym zaskoczeniem przyjmuję natychmiastowe dopasowania, czerpię dumę z tych wymagających kilku minut zastanowienia. Krok po kroku podążam za kierunkami, które wyznaczają linie – tak długo, aż wyłowię je wszystkie. Słyszę, jak ktoś w innym pokoju puszcza głośno muzykę. Wydaje mi się, że rozpoznaję utwór, ale szybko o tym zapominam.

Czas na skupienie, przede mną cięższy etap. Gdy odsiałam już charakterystyczne fragmenty, na blacie pozostały jedynie mgliste smugi, wymieszane, niejasne odcienie. Pora nadać im kształt. Ogarnia mnie lekki niepokój, choć przecież tęskniłam za większym wyzwaniem. Metoda na chybił trafił przestała działać, próbuję nowych strategii. Rozdzielam stos puzzli na mniejsze części, aby łatwiej było z nimi pracować. Skupiam się na konkretnych wzorach, kształtach, szukam podobieństw, łączę i rozłączam kropki. Uciekam się nawet do najbardziej żmudnej strategii – przeglądania kawałka po kawałku, analizy i porównywania każdego elementu ze wszystkimi pozostałymi. Wciąż jednak zmagam się z poczuciem, że puzzli nie ubywa, że wciąż czegoś gdzieś brakuje. Ignoruję syreny zza okna oraz głos wymawiający moje imię.

Nie podoba mi się ta sytuacja. Coś idzie nie tak. Cała układanka co rusz wymaga nowej transformacji. Mam dosyć ciągłego szukania. Zaczynam na nowo wciskać puzzle w miejsca, do których od początku nie pasowały. Może tym razem będą? Czy nie są wystarczająco podobne? To kwestia milimetrów, naprawdę, co z tego, że delikatnie odstaje. Dopadają mnie wątpliwości. A co, jeśli pasujących puzzli zawsze brakowało? Co, jeśli moja układanka była wadliwa, niektóre fragmenty wypadły w produkcji, gdzieś się zapodziały, zostały zabrane? Przecież takie rzeczy się zdarzają.

Siedzę wciąż w miejscu i dociskam niepasujący puzzel do reszty. Nacisk niszczy nie tylko trzymany przeze mnie fragment, ale też przylegające do niego krawędzie. Zamykam się, odsuwam i przysuwam, odwracam, przekładam i wciskam na siłę zupełnie przypadkowe fragmenty. Nie słyszę ciszy.

Uznaję, że już wystarczy. Tak po prostu. Spędziłam tu tyle godzin, że sama nie potrafię rozpoznać, czy układanka rzeczywiście jest skończona, czy przez ten czas zdążyłam to sobie wmówić. Nie wiem nawet, czy jestem zadowolona z finalnego efektu, po prostu go akceptuję. Znikła początkowa ekscytacja, znikła wola walki, frustracja, znikł też lęk. Z dziwną pustką – ostatecznie tak długo czekałam na ten moment – wychodzę z pokoju. W końcu. W pewnym stopniu odnaleziona, po-
niekąd usatysfakcjonowana. Wychodzę, może żeby się pochwalić, z nonszalancją rzucić: Skończone, chcesz rzucić okiem? Za drzwiami nie ma nikogo. Setki mozaik zerkają w moją stronę, a ja nie dostrzegam ich krzywych krawędzi, przebarwień, obić, pęknięć, odciętych fragmentów i irracjonalnych dopasowań. Widzę jedynie nieobecność ich właścicieli.

∞

Jadę do ciebie tramwajem...

Marcin Gościcki

Siedzę sobie w tramwaju, jadę na wykład. Te tramwaje to przedziwny środek transportu ni to samochód, ni to pociąg... tak się telepią i turkoczą, że aż w brzuchu skręca. Może za bardzo przyzwyczałem się do pociągów? A może po prostu jestem głodny, w końcu jak zwykle nie jadłem śniadania. Mieszkam bardzo blisko dworca, więc obliczyłem sobie optymalną ilość czasu potrzebną na poranną rutynę i dotarcie tam, aby spać jak najdłużej. Szkoda, że w moich obliczeniach nie uwzględniłem posiłku.

Rozpinam kieszeń mojego starego, zniszczonego plecaka „THE NORTH FACE”. Mam go chyba od podstawówki, szkoda wyrzucać. Wyciągam z wnętrza zestaw śniadaniowy. Zestaw śniadaniowy jest bardzo sprytny, to jeden z moich najwspanialszych wynalazków. Foliowa torebka, a w środku: kawałek papierowego ręcznika, mandarynka, plastikowa łyżka, no i oczywiście jogurt Jogobella marki „Zott”! Kupiliśmy ich mnóstwo, bo nie dość że są zdrowe, to jeszcze smaczne i poręczne. No i ten szeroki wachlarz smaków! Nawet nie pamiętam, który zabrałem dzisiaj.

Czuje się, jakbym odprawiał jakiś religijny rytuał albo brał udział w japońskiej ceremonii parzenia herbaty. Z zestawem śniadaniowym nie można iść na rympał, wszystko ma swoją właściwą kolejność. Najpierw wyjmę jogurt i delikatnie oderwę wieczko. Bardzo ważne jest, aby nie ścisnąć plastikowego kubeczka przy otwieraniu, bo wieczko robi wtedy takie „pyk!” i bąbel powietrza wyrzuca kropelki jogurtu na koszulę. To niezwykle irytujące.

Wczuwam się w drgania kół i wyglądam przez okno. Jest coś magicznego w podróży tramwajem, są takie... uroczo powolne, można nacieszyć się widokami. A zakręcając. robią „dryńdryńdryń!”. To miłe. Jakies takie staroświeckie i... warszawskie! Która to już godzina? Cholera... Gdyby nie te remonty na kolei, nie musiałbym turlać się trzema środkami transportu, mógłbym spokojnie dojechać na Powiśle pociągiem, a potem spacerkiem dotrzeć na wydział. Ale nieeee! Musieli rozkopać tory, nie mają co robić. Najgorzej jest jechać zatłoczonym autobusem, tak napchanym, że chce mi się rzygać. Koszmar! Ale powinienem być wyrozumiały, każda z tych osób też chce zdążyć na czas do pracy, na uczelnię i takie tam. Na szczęście na Wiatracznej mogę wsiąść w wesoły tramwaj i mieć święty spokój.

Dryńdryńdryń!

Ale wróćmy do śniadania, muszę się trochę pospieszyć. To znaczy, muszę zacząć jeść teraz, żeby za chwilę nie jeść w pośpiechu. Nie po to nie jadłem śniadania w pośpiechu w domu, żeby teraz jeść je w pośpiechu w tramwaju, absurd! Wyciągam więc jogurt, z ciekawością zerkając, jaki wylosowałem dzisiaj smak. O! to Jogobella Light, o smaku pieczonego jabłka! Co za skomplikowany smak, nie jakaś tam „truskawka” czy „kiwi”. Skomplikowany smak na skomplikowaną podróż na studia. Na szczęście tylko przez miesiąc lub dwa, potem remonty na kolei się skończą.

Otwieram plastikowy kubeczek, uważając, aby go nie ścisnąć. Udało się, wieczko nie zrobiło „pyk!”. Z odrobiną wstydu je oblizuję. Wiem, że nie powinienem, bo tam mogą być jakieś kropelki azotu czy czegoś, i w ogóle nie wypada, ale na wieczku jest tyle jogurtu, że aż wstyd zostawiać. Chowam oblizane wieczko do foliowej torebki. Dlatego właśnie wszystko jest w torebce, aby nic się nie ubrudziło. Wyciągam łyżkę i powoli delektuję się jogurtem. Jak dobrze, że nie muszę się spieszyć. Jogurty Light mają nieco subtelniejszy smak, ale nutka cynamonu idealnie równoważy tę małą niedogodność. Gdy już skończę jeść jogurt, ostrożnie obiorę mandarynkę.

Skończyłem jeść jogurt. Już miałem chować pusty kubeczek do torebki, gdy moja uwagę przykuło pojawienie się dwóch wysokich mężczyzn, ubranych niezwykle formalnie. Jeden z nich skinął głową w kierunku budki kierowcy, a drugi ruszył w głąb pojazdu. Cholera, kanary!? Wpieprzyli mi się z buciorami w mój święty zestaw śniadaniowy, jak śmieli? Zaraz... jeszcze nigdy nie widziałem kontrolerów biletów w tramwaju... coś tu nie gra. Szybkie zerknięcie w kierunku mężczyzn potwierdziło moje przypuszczenia. Te włosy ścięte na jeża, te zestawy słuchawkowe. To nie byli kontrolerzy. To byli agenci BOR-u. I przyszli tu właśnie po mnie.

Mój wzrok opadł na pusty kubeczek po jogurcie. Na etykietce określającej jego smak dostrzegłem dwa słowa. „Panna Cotta”.

Agenci Biura Ochrony Rzeczywistości już zdążyli zakrzywić wymiary.

Poderwałem się z siedzenia, natychmiast ciskając w kierunku bliższego agenta kulę skwierczącej energii. Próbował się bronić, ale nawet nie zdążył nałożyć tarczy ochronnej. Gdy kula dosięgła jego ciała, natychmiast zniknął. Teleportowałem go do Azji Mniejszej. Lubię teleportować natrętów do Azji Mniejszej, bo są tam strasznie rozmemłane czakramy energetyczne, więc trudno im się wydostać.

Drugi agent nie był amatorem. W mgnieniu oka rzucił na siebie „Potężną Widmową Skorupę” poziomu trzeciego lub czwartego. Przełknąłem ślinę. Nie dlatego, że się bałem. Po prostu chciałem posmakować resztek jogurtu w moim gardle.

O co się tak na mnie uwzięli? O to, że z miesiąc temu zmieniłem pogodę nad Starym Miastem? Też mi zbrodnia. Chciałem tylko, aby randka się udała... nie mogłem pozwolić na deszcz w taki wieczór. Było cudownie! Wspaniała, rześka noc z rozgwieżdżonym niebem. Nie wiedziałem, że tak się za to wściekną... co ich obchodzi pogoda nad starówką? Nie zrobiłem nic złego.

Uniknąłem rozwidlonej błyskawicy, która uderzyła w okno z tyłu tramwaju. Zerknąłem na pozostałych pasażerów, ale byli bezpieczni. Wypaczeni w bańce innego wymiaru, która objęła cały pojazd. Ich sylwetki delikatnie drgały, a nieobecne oczy wpatrywały się pusto w przestrzeń. Gdy bąbel już pęknie, oczywiście nie będą niczego pamiętać. Biuro chciało utrzymać całą tę maskaradę w tajemnicy.

Ze zgrozą spostrzegłem, że moje ciało zastyga w bezruchu. Cholerny jogurt! Już go zjadłem, a oni podmienili smak na ten z innego wymiaru i zakotwiczyli mnie w nim. Sprytne.

Agent zaczął zbliżać się do mnie z uśmiechem na ustach. Był pewnie dumny ze swojej sztuczki. Ale nie po to w weekendy ślęczałem w BUW-ie nad „Wstęgami” Panettiego, abym teraz dał się złapać w takie prymitywne pułapki. Tak, podejdź bliżej. Ja ci pokażę pułapkę, pajacu.

Ostatkiem sił zamknąłem oczy. Skupiłem myśli na kluczu, który pozwoli mi się wydostać. Jogobella Light marki „Zott”, o smaku pieczonego jabłka.

Zerwałem zakotwiczenie. Zanegowałem zmianę smaku jogurtu i wróciłem do właściwego wymiaru. Cynamonowe nuty tańczyły mi na języku, gdy uniosłem dłoń i przeniósłem przerażonego agenta w inne miejsce.

W podziemiach jednego z budynków na Śródmieściu jest taki mały pokoik, który sowieci zbudowali, aby wyłapywać wrogich agentów. Czakramy energetyczne całego miasta skupiają się właśnie w tym pokoju, uniemożliwiając teleportację. Ale teraz to tylko schowek na miotły. Jest zamknięty na klucz, a woźny otwiera go dopiero, gdy skończy zamykać wszystkie piętra budynku. Zasięg widmowej iglicy obejmuje całą Warszawę, a jej przytłaczająca potęga jest nieunikniona. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Teraz przekona się o tym ten durny agent. Nie można tak po prostu wydostać się z Pałacu Kultury i Nauki.

Odetchnąłem, opadając na siedzenie. Co za zwariowany poranek. O czymś zapomniałem? A, racja. Bąbel. Ścisnąłem rzeczywistość. Musiałem porządnie się skupić, bo to była zaawansowana technika poziomu piątego.

Pyk!

Dryńdryńdryń!

Tramwaj wrócił do właściwego wymiaru. Reszta pasażerów oczywiście patrzyła na mnie jak na dziwaka, więc szybko zająłem swoje miejsce. Nigdy nie zrozumieją, przez co muszę przechodzić. Cholerne zatłoczone autobusy na Wiatraczną... Nie. Powinienem mieć więcej empatii. Może oni też mieli swoje przygody w innych wymiarach, w drodze do pracy, na uczelnię i tak dalej. Kto to wie?

Wyjąłem mandarynkę. Ostrożnie obrałem ją tak, aby nie upuścić żadnego kawałka skórki ani nie ubrudzić się sokiem. Delektowałem się miąższem, jedząc po kolei każdą cząstkę. Następnie wytarłem dłonie w papierowy ręcznik.

Sprytność zestawu śniadaniowego polega na tym, że wszystko ładnie się składa. Oczyszczona kawałkiem papierowego ręcznika łyżeczka ląduje w odpowiedniej przegródce plecaka marki „THE NORTH FACE”. Potem ją umyję i włożę do nowego zestawu. Obierki mandarynki i wieczko jogurtu wkładam do pustego plastikowego kubeczka. Całość zawijam w foliową torebkę. Gdy już wysiądę z tramwaju, wyrzucę torebkę do najbliższego śmietnika.

Zerkam na zegarek w telefonie. Cholera. Znowu spóźnię się na wykład.

Z drugiej strony, czy ten wykład jest aż taki ważny? Nic się nie stanie, jak wejść lekko spóźniony. Za bardzo się tym wszystkim stresuję. Najważniejsze jest to, że na uczelni będzie dzisiaj Ona.

Aż mi się przypomina taka stara piosenka...

Jadę do Ciebie tramwajem... Oo... Tam tarida di-da, tam tarida di da di da!

∞

To nie przestępstwo, to moje hobby

Ula Wilczewska

Kiedyś domy budowano jak termitiery. W niepozornym, betonowym bliźniaku kryły się prawdziwe labirynty. Niekończące się schody, strych, piwnica, wiele ciasnych i brzydkich pokoików, a także dwie spiżarnie i trzy telewizory. Na ścianach znalazło się miejsce i na gobelin przedstawiający modlącego się Jezusa, i na tabliczkę „EXIT” ukradzioną z gdańskiej stoczni. Łatwo było zabłądzić w lesie jednokolorowej boazerii, a przy odrobinie chęci dało się tam zaszyć na całą młodość i nie zostać przez nikogo zauważoną. Po osiągnięciu pełnoletności wystarczyło iść cały czas przed siebie, nie zapominając o dotykaniu prawą dłonią boazerii. Prędzej czy później docierało się do jednego z ostatnich korytarzy, zwieńczonego nieocieploną sienią. Dom był już gotowy na wypłucie mieszkanki na ostre światło dzienne, ale wymagał najpierw rozwiązania kilku zagadek. Najbardziej popularna z nich brzmiała: „Jak to jest córcia, że albo cię nie ma, albo siedzisz zamknięta w pokoju jak jakiś pustelnik?”. Po opuszczeniu betonowych ramion można było udać się gdziekolwiek. Przynajmniej teoretycznie, bo w praktyce należało kontynuować rodzinne tradycje i udać się prosto na uniwersytet, ale broń Boże nie na polonistykę, bo to mogłoby skutkować możliwie najczarniejszą wizją przodków, jaką była praca w szkole publicznej jako nauczycielka.

Po pomyślnym rozwiązaniu wyżej wspomnianych zagadek i udanym wyślizgnięciu się z żelaznych palców domu, znikanie zaczęło wchodzić mi w krew, chociaż wtedy jeszcze nie zdawałam sobie z tego do końca sprawy. Już sama koncepcja przemieszczania się, wizja opuszczania znanego krajobrazu na rzecz nowego, a przede wszystkim innego, była dla mnie jak zaproszenie, którego nie chciałam odrzucić.

Zaczęło się bardzo niewinnie. Zniknąwszy z rodzinnego miasteczka, zmateriałowowałam się w Warszawie, a konkretnie na Pradze, blisko Wiatraka. Sielanka obecności nie trwała jednak zbyt długo, bo już jesienią, leżąc w łóżku i naciągając na uszy czapkę, zaczęłam znów się lekko rozptywać. Wiatr wiejący przez szpary w starych oknach przeszkadzał mi coraz bardziej, grube skarpety dawały uczucie ciepła tylko w połączeniu z kołdrą, co ostatecznie zakończyło się maratonem braku przebywania gdziekolwiek poza kojącą przestrzenią snu.

Zniknięcie całkowite lub częściowe zaczęło z czasem towarzyszyć mi coraz częściej. Zazwyczaj było to przyjemne. Niewidzialna przechadzałam się po korytarzach uczelni i parkach, nie musiałam się z nikim żegnać, wychodząc z imprez ani mówić: „Dzień dobry!” w windzie. Dzięki temu nie musiałam się też wstydzić, że płaczę w tramwaju, rozmawiając z babcią przez telefon ani tego, że nie radzę sobie w pra-

cy jako kelnerka, bo nie umiem liczyć. W paszczy miasta na pstryknięcie palców mogłam stać się przezroczysta lub chociaż półprzezroczysta jak plastikowa zastona oddzielająca ogródek restauracyjny od ulicy.

Hobby to ma swoje wady. Poznawanie nowych ludzi bywa trudne, kiedy rozptylenie się w ludzkiej mgie jest pierwszym, co robisz po każdym spotkaniu, kursie czy wykładzie. Na szczęście zawsze znajduje się garstka wytrwałych poszukiwaczy, odpornych na słabą widoczność, cierpliwie wysyłających kolejną wiadomość w przestrzeń. Zdarzyło mi się też narazić przez nie na pewne niezręczności, takie jak zapominanie mojego imienia lub mnie w ogóle przez nowo poznane osoby. Ciężko się dziwić, często przychodziłam na spotkania jako same oczy lub same uszy.

W ciągu dziesięciu lat przeprowadziłam się dziewięć razy. Dziewięć razy spakowałam wszystkie swoje rzeczy i niedbale sprzątałam opuszczane przeze mnie mieszkanie. W niektórych zostawiłam książkę lub pocztówkę, ostatnich świadków mojej obecności. Spałam w niezliczonej liczbie łóżek, większości nie chciało mi się ścielić. Na pewno na każdej poduszce i w każdym odpływie zostawały po mnie długie, czarne włosy. Znikałam głównie w Warszawie, przez rok we Włoszech, kilka miesięcy w Stanach. W pandemii znikło mi wszystko oprócz twarzy, dryfowałam jak pikselowy Zordon w słoju, pojawiałam się na korporacyjnych spotkaniach tylko po to, żeby powiedzieć: „Cześć, trzymajcie się, do usłyszenia!”. Uśmiechałam się przy tym zawsze szeroko tak, żeby nikt się nie zorientował, że został ze mnie tylko ten migający w cyfrowej przestrzeni uśmiech na Zoomie.

Myślałam, że tak już będzie zawsze, że będę tylko zmniejszać liczbę przenoszonych rzeczy, zmniejszać ilość przenoszonego ciała, że będę mogła przeżyć swoje życie jako przechodzień, osoba w dworcowej poczekalni, śpiący pasażer samolotu.

Blondynka w różowym fartuchu patrzy na mnie i mówi, że to zapalenie trzustki. Widzi mnie bardzo wyraźnie, a ja nie mogę nic z tym zrobić. Opuszczam wzrok na kota, który cicho warczy. Jest cały czarny i wystają mu dwa przednie kły, wygląda jak nietoperz, wszystkich śmieszy. Chociaż nazywa się Dżin, on też nie może rozplątać się w powietrzu ani schować w żadnej magicznej lampie. Może to dlatego, że imię wziął od drinka, Gin&Tonic. Zamiast tego, jego czterokilogramowe ciało lekko się trzęsie, tak jakby rozumiał kolejne informacje, które dostajemy od weterynarki. Nie wiadomo, czy uda się go wyleczyć, a nawet jeśli, już nigdy nie będzie tak, jak wcześniej. Czuję na sobie spojrzenie. Obracam głowę w prawo i przez uchylone drzwi widzę zwierzęcy szpitalik, pełny klatek, koców i różnych sprzętów. Wygląda trochę jak składzik, ale zamiast dżemów i rowerów, gromadzone są w nim chore zwierzęta. Czekają na swój moment, na swój sezon. Na podłodze leży wielki, siwy pies. Jego wyleniałe, zszarzałe ciało zajmuje większość wolnej przestrzeni. Oczy ma

lekko mętne, ale patrzy prosto na mnie. Dżin ma dosyć zastrzyków, z każdym dniem jest coraz trudniej, pierwszy raz w życiu próbuje mnie ugryźć. Po wszystkim wychodzimy do poczekalni. Recepcjonistka mówi spokojnie do słuchawki: „Może pan przyjść odebrać ciało”. Nie słyszę odpowiedzi, ale jestem pewna, że osoba po drugiej stronie płacze. Cieszę się, że to nie ja i zaraz ta myśl mnie zawstydzą.

Leżę na kanapie z dwoma kotami. Od kilku miesięcy przeglądam się bezustannie w swojej własnej soczewce. Zbliżenia są ostre i nie zawierają filtrów, a jeśli nawet zawierają, nie da się ich oddzielić od rzeczywistego obrazu. Czy to o to chodziło, kiedy przed snem wyobrażałam sobie, jak zsuwam się powoli w głębię wody, spokojnie obserwując oddalające się źródło światła? Czym jest wolność, o której skrycie marzyłam, do której dążyłam, od czego ciągle uciekałam?

Moje życie to trzydziestometrowe mieszkanie na Powiślu, kwadrat okna z niezmiennym, szaro-żółto-pomarańczowym blokiem, sklepem Carrefour otwartym każdego dnia i ludźmi, których wygląd danego dnia służy mi za miernik temperatury. Czasami jest to mylące, zwłaszcza w marcu, kiedy krótkie rękawki przeplata się z kurtką puchową. Mogłabym wyjść na balkon, ale od kilku miesięcy stoją tam przedmioty przeznaczone na banicję w piwnicy (stara kuweta, hulajnoga i wiadro). Unikam zbliżania się w te rejony, żeby uchronić się przed nagłym ułtuciem wyrzutów sumienia i kolejną próbą ustalenia ostatecznego terminu podróży w głąb bloku. Poszłam tam tylko raz, po przeprowadzce. Do tej pory czuję na plecach ślad po obrzydzeniu widokiem martwego, czarnego żuka i trutek na szczury wystawionych wzdłuż tunelu piwnicy. Wyprawa jest jednak nieunikniona.

Chory kot zwija się w precelek na moim brzuchu, czuję jego ciepło i że jesteśmy naprawdę. Mam trzydzieści lat i już nie znikam.

∞

Perseidy

Olga Sapiechowska

Wiesz, że w latach 80. wylądowali tu obcy? Normalnie, kulturalnie – wysiedli, przeszli się, zrobili grilla, upiekli zielone kiełbaski. Okoliczni mieszkańcy widzieli spodek. Działkowicze znaleźli zwęglone pozostałości po uczcie.

Mówi to, wpatrzona w miejscami jeszcze zmrożoną tafłę Jeziora Czerniakowskiego. Okna pobliskich budynków odbijają resztkę zachodzącego słońca. Wygląda, jakby trawił je pożar. Cienka skórzana kurtka ledwo chroni mnie przed zimnem, co chwilę mam dreszcze.

Pięknym kobietom można wiele wybaczyć. Ja wyszedłem szukać żonkili, ona wyszła wypatrywać niezidentyfikowanych obiektów latających, proste. Przystaję, słucham, chociaż brzmi to jak bełkot pospolitego, schizofrenicznego żuła zza winkła. Niech będzie i piknik na skraju jeziora.

I tak to się zaczyna.

∞

Pierwszy incydent miał miejsce w 1922 roku na terenach obecnego Targówka. W tamtych czasach kompletny wypizdów – taki, że mgła krowy dusi. I to właśnie jedna z tych krow albo może jej pastuch, nieważne, w każdym razie ktoś widział dziwny lewitujący obiekt. Sensacja migiem rozeszła się po mieście, dlatego potem zieloni powrócili do prowadzenia operacji w trybie incognito. Czasami znikała jakaś koza czy gęś, czy dziecko do lat pięciu, czasami zwiększała się częstotliwość obserwacji zjawisk potocznie określanych mianem „spadających gwiazd”, ale generalnie posucha. Jedynie podczas okupacji pijany kierowca spodka zderzył się z pijanym kierowcą niemieckiego bombowca. Niestety, na nieszczęście badaczy zjawisk paranormalnych oraz państwa polskiego, skończyło się jedynie na obustronnych otarciach.

Dopiero w latach 80. sytuacja zmieniła się diametralnie. Obecny konsensus naukowy skupia się na teorii, jakoby przybysze upodobali sobie okolice Kopca Powstania, jeszcze wtedy, gdy był po prostu zarośniętą kupą gruzu zwiezionego z całej powojennej Warszawy. Według najwybitniejszych ufologów, obcych przyciągają szczególnie miejsca naładowane karmicznie. Zgoła niehumanitarne rysy mieszkańców Czerniakowa jeżdżących w godzinach przedpołudniowych od pętli do pętli to wcale nie oznaka degeneracji i społecznego rozkładu, to podpowiedź.

Pomyśl, jak dużo w naszym mieście obiektów wzniesionych na planie koła. Rotunda, Patelnia, Metro Plac Wilsona. Okrągłak, Gruba Kaśka, dach w Żółtych Tarasach. Zazwyczaj spodki poruszają się tak szybko, że nie sposób zarejestrować ich gołym okiem. Tylko czasami, na peryferiach naszej pamięci, pojawiają się powidoki.

Pijemy piwo gdzieś w krzakach po praskiej stronie Wisły. Dowiaduję się, że za projekt życia obrała zbieranie wyrwanych z tkanki miasta dowodów na aktywność pozaziemską i że dzięki temu wszyscy przypomnimy sobie to, co wyparło, a prawda nas wyzwoli. Że to wszystko na serio, bez beki. I że szuka asystenta. To miał być tylko wiosenny plener z nową, delikatnie odklejoną, koleżanką z osiedla. Nic bardziej mylnego. Pod koniec kwietnia niespodziewanie zostaje stażystą w dziedzinie ufologii.

Decydujemy się na ambitny plan przeczesania Warszawy wzdłuż i wszerz, póki jest ciepło, póki dni ciągną się w nieskończoność i nad żadnym z nas nie wisi widmo obowiązków ani uczciwej pracy, ani „ile ty masz lat, dorośnij”. Lato wybacza, więc odkładam szukanie zajęcia na bliżej nieokreślone potem. Lato wybacza, więc wieczorami wymykam się na spacer, które trwają do świtu. Lato wybacza, więc przysypiam na klatkach schodowych, w przejściach podziemnych, w nocnych autobusach. Śni mi się wielka płyta i gwiazdozbiory.

Opuszczone centrum handlowe Panorama z całą tą kosmiczną geometrią i niepokojącym echem. Okna, w których dzieciaki powyklejały fluorescencyjne gwiazdki. Ursynowskie pagórki niewiadomego pochodzenia. Obłąkańcze bazgroły na wiatach przystankowych. Każde zjawisko dokumentujemy fotografią opatrzoną opisem. Przechodnie gapią się najpierw nieśmiało, potem otwarcie. Mam to w dupie, już dawno ich przejrzałem. Niektórzy nie kryją się nawet z wyłupiastymi oczami i specyficznym odcieniem skóry.

Podczas badania terenowego w okolicach Skarpy Wiślanej moja de facto przełożona wygrzebuje z ziemi perfekcyjnie okrągły, opalizujący kamień. Zamiast opisać i zabezpieczyć znalezisko, wręcza mi je w prezencie. Na szczęście.

Wróżbitka Marzanna stawia nam tarota w swojej klitce na Sadach, której wystrój prawdopodobnie nie zmienił się od lat 90. ubiegłego wieku. Jest nawet meblościanka. Czuję kurz i kadzidło. I pot. Czytałem rano, że cały tydzień mają nas nękać noce tropikalne, podczas których temperatura nie zejdzie poniżej 20 stopni. Ta noc jest do tego najkrótsza w roku. Jeśli wezmę wystarczająco duży rozbieg, nie pójde spać do końca sierpnia.

Koło Fortuny, Cesarzowa, Gwiazda. Wielkie bogactwo i nieopisana radość. Uda ci się wszystko, co tylko postanowisz.

Wychodzimy na balkon odetchnąć świeżym powietrzem. Wróżbitka Marzanna pali cienkiego papierosa i stara się pozować jak tragiczna piękność z okładki gotyckiego harlekina. Zauważam owalny budynek na środku placu między blokami. To chyba po prostu jakiś większy śmietnik, ale dla mnie wygląda jak Rotunda, jak Patelnia, jak Metro Plac Wilsona. Jak dobra wróżba. Jak kręgi w zbożu.

W międzyczasie wakacje wypływają z odmętów rozluźnionych relacji ludzi, z którymi przy dobrych wiatrach widuję się raz na pół roku, raz na rok. Którejś sierpniowej nocy trochę przesadzam przy barku i opowiadam każdemu, kto chce słuchać, o niedawnym przebranzowaniu, o biwaku nad Jeziorkiem Czerniakowskim, ukrytym owalnym kodzie budowlanym i tej, która mnie w to wszystko wciągnęła. Jest całkiem zabawnie. Historia okazuje się prawdziwym hitem. Zbiera same pochwały, od serdecznego uśmiechu aż po gromki aplauz. Śmieję się razem z nimi, śmieję się aż do pęknięcia przepony, a potem wychodzę bez słowa.

Wracam przez upstrzone biurówkami okolice, w które zazwyczaj się nie zapuszczam, i zapamiętuję je jako obiecujący teren badawczy. W prawej dłoni nieustannie ściskam szczęśliwy kamień. Jutro spadną Perseidy.

∞

Łabędź

Marcin Noras

Na jeziorze samotnie płynął biały łabędź, zbudzony moimi krokami i chyba nieco zdezorientowany. Majestatycznie, jak kosmiczny krążownik, sunął po czarnej tafli prosto w moim kierunku. Zatoczył koło przed miejscem, w którym siedziałem, jak wrona nad trupem i już bez gracji wczłapał na platformę. Widać z wioskowego wariata awansowałem na księżniczkę Disneya; mimo woli pomyślałem o wszystkich rycerskich legendach, pięknych damach zamienionych w łabędzia i o ojcu Heleny Trojańskiej.

Kumpel mówił, że łabędzie to dresy pośród ptaków – są nachalne, niepotrzebnie agresywne, terytorialne i szukają zaczepki. Może naiwnie, ale w dresach zawsze widziałem jakiś archetyp szlachetnego dzikusa, mężnego Toksarisa, narowicie męskiego, ale szczerego. Nie, łabędzie to coś innego.

Ptak spojrzał na mnie i ruszył do przeciwnej krawędzi kamiennego molo. Dokonał obchodu, jak cesarsko-królewski oficer, i wrócił ku mnie. Nagle wydawał się czystszy, jaśniejszy. Znow rozłożył skrzydła, ale tym razem nie był wrogi. Majestatycznie uniesiony wpatrywał się we mnie, jaśniejąc jak świeżo wyprana pościel, jak witraż katedry o wschodzie.

Gdy w końcu otworzył dziób, rozległ się z niego głos anielski, chórалny, jak coś wyjętego z Tolkiena. Wysublimowana, elficka pieśń płynęła z jego długiej szyi wraz z przytłaczającym promieniem światła – a w tym świetle widziałem siebie, z głową ułożoną bokiem na kowadle. Nade mną bogini Atena stała z wielkim młotem w jednej ręce i małą, złotą figurką smoka między palcami drugiej.

– Albo zrozumie... albo nie – powiedziała, stawiając figurkę na mojej skroni, a ja pomyślałem, że nagle łabędź ma sens. Ptak, który jest wężem. Z długą wężową szyją, z wężowym syczeniem i wężowym sposobem dziobania. Wąż w końcu złapał odwiecznie uciekającego ptaka, a powstały z ich syntezy smok przyjął postać łabędzia.

Młot opadł, przenikając moją czaszkę, z hukiem waląc w kowadło. Kręciło mi się w głowie, po figurce nie było śladu. Myślowy implant został zaszczerpiony; smocza mądrość metafizycznej kompletności walczyła o miejsce w mojej głowie, jak przeszczep negocjujący z biorcą. Zatoczyłem się – nie wiem, czy w świetlnej wizji, czy na jawie, czy jedno i drugie, trzymając się za łeb, który nie bolał, ale i tak krzyczał nadmiarem bodźców. Zobaczyłem siebie w odbiciu wypolerowanej tarczy Ateny, która wzięła się nie wiadomo skąd.

Za moimi plecami powoli, z całym dostojeństwem, rozpościerały się białe skrzydła, okryte długimi piórami; śpiewający przede mną łabędź nagle wydał się bliźnia-

czo podobny. Zamknął dziób i światło wraz z wizją ustało, ale pieśń trwała nadal. Słyszałem chóralne zaproszenie – „Bądź z nami, bądź nami. Bądź taki jak my, lepszy niż inni, symboliczny i wyrafinowany, czysty i śnieżnobiały, zawsze pełen gracji i taktu”.

Obejrzałem się za siebie. Zaskoczyłem się widokiem skrzydeł, przynajmniej na tyle, na ile cokolwiek było mnie w stanie jeszcze dzisiaj zaskoczyć. Skrzydła jednocześnie były i nie były na moich plecach, wahające się, czy istnieć, czekające na moją zgodę – przestaniały mi nieco widok w kierunku, z którego oczekiwałem przybycia swojego brata-bliźniaka-wroga. Było po drodze wiele innych osób, ale nie myślałem o nich. Wiedziałem, czułem, że tam, gdzie zaprasza mnie łąbędź, nie ma miejsca dla mojej drugiej części. Już raz opuściłem mojego brata, w sumie z podobnych powodów. Może drugi raz byłby łatwiejszy?

Ale nie był. Nie chciałem za grosz znów go zostawiać. Nie było w tym przywiązaniu nawet poczucia winy, nie było poczucia obowiązku. Wiedziałem, że zrywając naszą więź, zabiłbym go, ale to nie jego śmierci się bałem. Śmierć ogólnie wydaje mi się zbyt prozaiczna, żeby wzbudzać lęk. Nie, bałem się JEGO śmierci – a z nim, części siebie. Jego koniec oznaczałby, że musiałbym iść naprzód sam, nie tak, jak dotychczas, gdzie brat istniał gdzieś w oddali, w ciemnej pieczarze mojego umysłu. Nie, teraz byłbym tylko ja, a bez niego... bez niego bym się nienawidził.

Westchnąłem. Skrzydła zniknęły, pieśń ustała, przeszczep się nie przyjął. łąbędź stał przede mną, jak przerośnięta szara gęś, patrząc spode łba. Złożył skrzydła, ale tylko po to, by przełączyć się z trybu „mistyczny posłaniec” na „upierdliwe bydlę”. Trzepotał, syczał, charczał i napadał na mnie wszelkimi innymi środkami, w które wyposażyła go natura.

Nauczanie, wzrost, rozwój, zawsze kosztuje. Czasem to po prostu uczciwy wysiłek. Czasem budowanie nowych części siebie polega na strategicznym traumatyzowaniu się, a częściej – byciu traumatyzowanym. Jakieś... psycho-intelektualne szczepienia. Mówimy dzieciom o świętym Mikołaju tylko po to, żeby im go odebrać. Tworzymy rzeczy w naszych umysłach, by je niszczyć, wszystko w z góry określonej procedurze alchemicznej, *solve et coagula*. To dlatego w naszych umysłach nie ma czegoś takiego, jak „liczy się efekt”. Sposób powstania naszych myśli, układów i zachowań sam w sobie jest efektem. Nie ma najmniejszej wartości, jeśli twoja osobowość jest tylko wypadkową rzeczy, które ci się przydarzyły – tak samo, jak bezwartościowe jest, jeśli twoja osobowość to wyłącznie zbiór intencji na temat tego, kim chcesz być. Kamień filozoficzny leży w relacji pomiędzy tym, czym logicznie powinien być, na prostej przyczynowo-skutkowo-behawioralnej ścieżce, a tym, czym ostatecznie się stajesz. Wynikiem odejmowania tych dwóch elementów jest wola.

Łabędzie nie są dresami pośród ptaków. Nie bez powodu są symbolami rycerzy i dam, orderów i królów. Łabędzie są nachalne, niepotrzebnie agresywne, terytorialne i szukają zaczepki. Łabędzie to możni tego świata, jego władcy i elity, zawsze śnieżnobiali, zawsze lepsi od innych. I gdy w końcu udało mi się kopniakiem wysłać oponenta na jezioro, poczułem, że ptak nie był smokiem. Był zwyczajnym bydlątkiem bożym, jak my wszyscy.

∞

Narodziny

Helena Rojek-Osowska

Zmiana zaczyna się od drżenia – oczu, które nagle dostrzegają; dłoni, które uczą się puszczać; i ciszy, która przestaje być schronieniem, rozrywając mgłę niedopowiedzeń.

Przekraczam próg – między tym, co było, a tym, co jeszcze nie ma kształtu. Czy strach jest ceną nowego? Czy nowe jest jedyną drogą? Czuję, jak pod stopami pękają stare ścieżki, a zapach kurzu unosi się w powietrzu.

Ciało pamięta zamknięcia, dłonie wciąż zaciskają się odruchowo, ale serce pulsuje pragnieniem przejścia. Co, jeśli po drugiej stronie jestem inna? Co, jeśli o to właśnie chodzi? Co, jeśli stara skóra musi pękać, by odstąpić to, co miało się narodzić?

Zmiana jest otwarciem – nie na pewność, lecz na drogę; nie na cel, lecz na ruch; nie na odpowiedź, lecz na pytania. To ból i ukojenie splecione w jedno, oddech, który drży, zanim stanie się wolnością.

A może otwarcie to nie koniec, ale początek, który trzeba powtarzać, by nie ustannie stawiać się sobą.

Gdy zamilkło echo minionych dni, a wiatr rozwiął ślady na piasku, stoję na progu, gdzie świt się rodzi, i nie wiem jeszcze, kim się stanę.

W dłoniach niosę szept przeszłości, spojrzenia zapisane w myślach. Każdy krok, który robię naprzód, odziera mnie z dawnych imion, aż zostanie tylko naga prawda – biała, chłodna, czekająca na nowe słowo.

Czy jestem sobą w chwili zwątpienia, czy gdy w odbiciu widzę cień? Czy w ciszy, co rozciąga się wokół, znajdę odpowiedź, czy tylko znak? Czy moje imię będzie brzmieć inaczej, gdy wypowiem je na nowo?

Przekraczam próg, otwieram oczy, światło łamie się na skórze. Nie jestem tym, kim byłam wczoraj. Jeszcze nie wiem, kim będę jutro. Ale idę. W ruchu uczę się być.

∞

Dzień Graniczny

Aleksandra Kenaz

Nie ma granic współodczuwającej wyobraźni.

Coetzee, Costello

10:30

Wstałam, jak co dzień rano, i się okazało, że to mnie pojebało, nie świat. Jestem pierdolnięta, walnięta. Wniebowzięta na myśl o śmierci. Ale nie w tej chwili.

Słońce przedziera się przez skundlone firanki i próbuje mnie oszukać, że to będzie dobry dzień.

10:31

A może ja wcale nie chcę wstać z łóżka?

10:35

Patrzę w lustro. Niepewnie ściągam piżamę i robię cosplay casualowego menela – za duża bluza i spodnie do spania. Jakbym nadal chciała śnić.

Piękna wariatka, chcąca zbawić świat. Wystające żebra.

10:37

Paskudna. Gruba jak morświn, który wypadł na brzeg. Żywa fałda mięsa. Wi-dzę fałdki, rozstępy, cellulit, krostki, piegi, plagi, samo dno Hadesu w moim ciele. Nie jest moje. Nie chcę go. To brzydka klatka. Nie należy do mnie.

Czuję do siebie obrzydzenie.

Muszę uciec.

10:40

Śniadanie. Może piwo?

Otwieram lodówkę. Zije chłodem i pustką. Terminator nie ma nic ciekawego do zaoferowania poza serem i połówką pomidora. Śmierdzi obżarstwem.

10:45

Mogłam jednak zdecydować się na piwo. Wielka szkoda.

W kubku czeka na mnie woda. Popijam nią pregabalinkę.

Może kiedyś w końcu zginę.

10:46

Zupełnie jak przegniły pomidor z lodówki – jestem drugą połówką.

„Druga” to dobre słowo. Bo wiem, że przegrywają ci, którzy kochają mocniej. A ja zwykle wpadam w obsesję. To jeszcze gorsze. Przekleństwo. I zarazem dar. Pali. Dodaje skrzydeł jak red bull bez cukru? Ikar nie do zajebania i jednocześnie sam chcący się zajeść, spalony przez słońce. Ta ognista kula jest moją ulubioną osobą. Wiem, że to dziwne. Ale lubię przed sobą uciekać. Miłość jest dla mnie bardziej szkodliwym narkotykiem niż alkohol czy Hera (kocham nawiązania do mitologii).

Patrzę na partnera. Nadal śpi, a ja go nienawidzę.

Mogłabym za niego umrzeć.

To on jest potworem. Nie ja.

A może ja?

11:20

Dzisiaj na pewno będę produktywna: praca, kasa, rozwijanie pasji, samej siebie, papieru toaletowego, sranie do własnego ogródka, życie dla fabuły i inne pierdu-pierdu społeczne. To i tamto.

Czemu mnie biłeś, tato? Śmieję się mu w twarz. Co innego pozostało? To ryje w bani, jak męskie twarze, które przekraczały granice zbyt wiele razy.

Ojciec to narzędzie terroru. Ojciec rymuje się z uciec.

Pierdol się, dam sobie radę. Jestem wiedźmą. Nemesis. Wyznawczynią karmy.

Potrzebuję pomocy.

Zapłacą za to, co mi zrobili.

11:49

Kończy się alfabet, by opisać ból. Jak niby można scharakteryzować pustkę, dziurę, która tak naprawdę nie istnieje? To paradoks. Obszar wiedzy nie do poznania, nie do opisanie. Właśnie! Czy istnieją granice poznawalności?

Bo tak się składa, że mam pograniczne zaburzenie osobowości, więc jak to się mówi: „chuj tam wiem”.

Głosy w głowie. Hałas jak na Narodowym. Jakby kibole zebrali się w jednym miejscu, strzelają z kałachów, tańczą makarenę i plują mi na mordę.

Chcę uderzyć głową w ścianę.

12:00

Dam radę. To tylko w głowie. Nie czują do mnie nienawiści. Wstręt we mnie. Od siebie do siebie. Nic nie zrobiłam. Powtarzaj: dobrze mi ze sobą. Krew z pociętego ramienia.

I POWTARZAMY: dobrze mi ze sobą. Ból fizyczny trochę łagodzi ten w środku.

I POWTARZAMY: dobrze mi ze sobą! Może seks? Przez chwilę poczuję dostojną bliskość.

I POWTARZAMY: dobrze mi ze sobą. Oni odchodzą. Wszyscy. Zostanę sama. Mówią o mnie. Źle myślą. Chcą mi zrobić krzywdę. Powtarzaj: dobrze mi ze sobą. Niech mnie ktoś zabije, zapłacę. Kiedyś szukałam namiarów na płatnego mordercę. By zlecić samą siebie. Myślę, że to przejaw prawdziwego romantyzmu.

POWTARZAJ: dobrze mi ze sobą. Nóż. Tabletki popijane alkoholem. Duszenie się paskiem. Próba utopienia w wannie. Nic mi w życiu nie wychodzi. Nawet samobójstwo.

Proszę... Powtarzaj: dobrze mi ze sobą.

Okładałam się pięściami po głowie.

A potem w ścianę.

Po co się budziłam?

12:03

To trwało tylko kilka minut? Czuję, jakby minęły lata. Lawina myśli runęła. Nadal walczę. Za dużo słów. A najgorsze, że przemawiam w głowie ni to swoim, ni to nie swoim głosem. Bycie zbyt długo trzeźwym boli.

Dobra, mam to wszystko w piżdzie.

Idę po swoje. Tabletki. Jedna za drugą. I koniecznie piwo.

Chcę się znieczulić. I może, ale tylko MOŻE, przytulić.

12:30

Muszę poczuć wszystko, by mieć poczucie, że żyję.

Dlatego wyliczam. To daje złudne poczucie, że mam kontrolę.

12:47

Gram w Borderlands.

Oglądam Alice in Borderland.

Lubię kolor bordowy.

Borderstwo.

Borderka-frajerka.

Jestem w kilku grupach na Facebooku, np. Bordercipki fanpage sekcja borderline kulek, Borderline: wsparcie i pomoc...

Borderkicia.

Bordercipka.

Borderpotwór?

Borderkurwa?

Typ borderline. Drugi – impulsywny. Ale ja też potrafię cisnąć telefonem w ścianę. To tylko emocje. Strzelić komuś w ryj. Ojcu, typowi, który mnie molestował. I tak będziecie nazywali mnie potworem. Bać się lub mówić, że niszczę innym życie. No dalej! Śmiało, wierzcie w propagandę prostytuujących się za kryształ alternatywek, które dostały diagnozę od *Same Quizy*.

Przykładowy tytuł artykułu z serwisu wiadomości Onet: *Kocham ten twój border, czyli piekło życia z partnerem z borderline...*

Oni nie wiedzą, co to prawdziwe...

Powtarzam: muszę uciekać, by przetrwać w swojej głowie.

13:03

Moja skromna opinia? Ze wszystkich suplementów najlepsza jest pregabalinka. $C_8H_{17}NO_2$. Pochodna kwasu γ -aminomastowego. Suplement o działaniu przeciwpadaczkowym i przeciwlękowym, który niekiedy może zadziałać narkotycznie.

Dragi (z ang. *drugs*) to wielka hipokryzja. Alkohol, najgorsza używka, jest legalny. (wiadomo kto, wiadomo co, wiadomo dlaczego). I ma trwałe miejsce w kulturze, choć dosłownie niszczy ludzkie życia. Kiedyś ekstazy było lekiem na zaburzenia osobowości. Ale pacjenci czuli się potem zbyt dobrze, więc trafiło na listę dragów (z ang. *drugs*). Inne przykłady? Nawet dzisiaj w leczeniu ADHD wykorzystuje się po-

chodną amfetaminy. Widzicie? Legalne jest tylko bycie ćpunem na receptę, bo bogacą się koncerny farmaceutyczne.

Ale za najmniej szkodliwe narkotyki, trawę i grzyby, pójdziecie siedzieć. Ale co tam ja mogę? Życie jest obfituje w paradoksy.

Dlatego czekam na jakiś cud.

13:06

Pregaba zaczyna działać (zwykle do godziny).

Normalna dawka? Między 150 a 600 mg. Przeciwwskazania? Alkohol.

Dlatego czasami potrafię pochłonąć trzy tabletki po 300 mg, wieńcząc dzieło zniszczenia kilkoma piwami.

Rezultat?

Przyjemne otępienie. Cisza w głowie. Spokój. Czasami mam dużo sił do działania albo za dużo mówię.

Największy atut? Dzięki niej zapominam. Nie czuję lęku.

Emocje są niebezpieczne.

14:00

Nie wiem, co to radość, smutek i złość. Zbyt dobrze znam euforię, rozpacz i furję. Pojawiają się często. Bez większego powodu. Walczę, by krzyczący w głowie kat nie przekonał mnie do dekapitacji.

Dziwne pomysły podyktowane wyżem.

15:40

Czas nawet jakoś płynie.

Minuty nie tną jak noże.

Można żyć.

Mam ochotę zrobić doktorat albo założyć firmę. Może krypto? Własne wydawnictwo? O! Przebranożować się. DJ-ka? Drugi kierunek studiów (psychologia, żeby wiedzieć, dlaczego ludzie są tak zmarnowani, poćwiartowani, po prostu zjebani)? Zaczyna boleć mnie głowa.

16:00

Leżę na łóżku i patrzę w sufit. Jest bardziej stabilny ode mnie.

Myślę o rzeczach poza. O tym, co wchłonęłam i próbuję przetworzyć.

16:25

Pregaba działa 8-12 godzin. Ale jak bierze się ją regularnie, na dodatek w dużej ilości, to znika cała magia.

Czuję siebie. Boli, ale trochę mniej, jakbym działa w 60%.

To nadal za dużo. Często zdarzają się chwilę, że muszę uciec do innych.

17:00

Wpatruję się w partnera. Siedzi na słuchawkach przy komputerze.

Ja tu jestem! Spójrz na mnie w końcu. Chociaż przez chwilę.

Nawet jak mówi, że kocha, to słyszę jad w jego głosie.

Albo to paranoja.

Wystarczy inny ton, odmiennie dobrane słowa.

Panikuję.

Odzywam się, by sprawdzić, czy naprawdę istnieje w pomieszczeniu.

17:25

Przytula mnie, a ja jestem gdzieś indziej. Gdzieś dawniej.

Nie chcę tam wracać.

Tryumfuję. Jednak mnie kocha. Ale czuję to tylko chwilę, gdy jego zapach wdiera mi się w nozdrza. Szkoda, że nie zostawia trwałego śladu. Zapomniałam, człowiek musi jeść.

18:00

Lodówka nadal ziele pustkami. Robienie zakupów jest zbyt stresujące. Na razie żywię się własnymi myślami. Są niesmaczne, ale przynajmniej nie są najpyszniejsze. Więc chłodzę piwo, ale wcześniej jem czerstwą bułkę przed monitorem.

18:15

Już ta godzina. Nie zrobiłam nic pożytecznego. Ciągłe wyrzuty sumienia, że odpoczywam. Zalewa mnie jazgot.

nic nie robisz jesteś leniwa z tego nie ma pieniędzy

kobiecie nie wypada to twoja wina sama tam poszłaś

To tylko w mojej głowie, a mimo to nie wszystkie frazy tak sobie wyłowię.

Muszę się napić.

19:00

Piwo otępia, ale jest strasznym depresantem. Coś za coś.
Prokrastynuję, by nie myśleć.

20:00

Klikam bezmyślnie w klawiaturę. Liczę, że partner wymyśli mi zajęcie. Jestem jak małe dziecko, któremu trzeba wskazać cel.

Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić! Kusząca myśl – w łeb se po prostu przypierdolić. Tak na wszelki wypadek. Spokojnie, czasem się wznoszę.

20:01

A teraz trochę patosu, bo często lubię przesadzać.

Żyję tylko po to, by cierpieć. Zły Absolut testuje granice mojej wytrzymałości.

Ale co zrobić w sytuacji, gdy jestem z pogranicza?

20:03

Żyję po to, by tworzyć. Mogę udowodnić innym, że mam z tego na chleb.

20:05

Żyję po to, by umrzeć.

21:37

Amen.

22:20

Bilans:

600 mg pregabaliny,
trzy piwa marki Desperados,
jeden drink Bociana z sokiem jabłkowym
(bo zbliża się wiosna),
2 tabletki Nurofenu,
zbyt dużo nikotyny.

23:45

Zmęczyłam się.

∞

Pokarm dla serca czy głowy?

Profesor Jarosław Klejnocki o poezji, krytyce, skomplikowaniu i tendencji do upraszczania.

W Pana wierszach zauważyłam pewne przyzwyczajenie do kompresowania treści, ściskania słów w linijkach, utrudniania czytania.

To jest wybór. Ja, w którymś momencie, postanowiłem nie używać w ogóle znaków przystankowych lub używać ich, ale bardzo rzadko, po to, żeby trochę skomplikować czytanie. To jest zabieg zamierzony. Duże litery pełnią dwie funkcje: albo sugerują początek jakiegoś nowego zdania, albo mają zwrócić uwagę na jakieś zjawisko. Może to być też rodzaj wyróżnika postaci. Jest w moich wierszach taka, która nazywa się Ten, Który Patrzy. Pojawia się już od wielu lat i jest pisana dużymi literami.

– Americano i herbata! – krzyczy barista zza pleców profesora, który upiera się przy tym, by zanieść sam na raz oba napoje do stolika, mimo tego, że parzą go w palce.

Dla anegdoty dodam jeszcze, że mój świętej pamięci ojciec, który niestety nie był czytelnikiem o wysokich kompetencjach (preferował raczej literaturę realistyczną i denerwował, go np. Gombrowicz, a wychwalał Sienkiewicza) miał do mnie pretensje za to, że tak piszę. „To trudne, nie wiadomo, o co ci chodzi” i tak dalej... Ale to było świadome.

Podejrzewam, że Ten, Który Patrzy, to nie jest Bóg.

Nie, to jest bohater wzorowany na mnie w jakiejś tam części. Taka postać liryczna.

Była w Panu chęć buntu, niewpasowywania się w oczekiwania ojca? To zazwyczaj postać o wysokim autorytecie i różnie można do tego podchodzić.

Literacko ojciec nie był dla mnie żadnym autorytetem. Wiedziałem, że umiem od niego lepiej czytać i rozumieć literaturę. Był dla mnie autorytetem w innych sprawach, ale nie takiego typu, że ja się z nim jakoś bardzo liczyłem. W wyborze tego stylu pisania wierszy nie odgrywał roli wizerunek. Bardziej chodziło mi o to, by w ten sposób uzyskać kondensację znaczeń i żeby te wypowiedzi poetyckie były bardziej wieloznaczne. Czy to mi się udało? Nie wiem, ale takie było zamierzenie.

Z zajęć pamiętam, że cytaty zapisuje Pan kursywą. Czy są jakieś wyjątki od tej reguły?

W 90 proc. kursywa jest cytatem albo parafrazą. A jeżeli jest to kursywa w nawiasie, to jest to myśl równoległa do tego, co płynie w tekście podstawowym. Na pewno pani też ma z własnego doświadczenia takie obserwacje, że o czymś myślimy, ale jednocześnie temu zaprzeczamy – zwłaszcza gdy mamy wątpliwości. Podejmujemy jakąś decyzję, ale jednocześnie jest jakiś drugi głos w nas, który mnoży wątpliwości co do niej. To wtedy tak właśnie się zapisuje.

W temacie skomplikowania: czytałam w metrze Pana wiersz dotyczący sensu komplikowania wbrew wszystkiemu i przez to zastanawiam się, jak bardzo bycie zrozumianym i tworzenie czytelnej, przejrzystej poezji jest dla Pana obecnie istotne.

Obserwuję w sobie taką tendencję do upraszczania. Jeżeli zerknęłaby pani na te wiersze, które pisałem przez ostatnie 2-3 lata, to one są w sensie semantycznym dosyć proste, a co więcej nieskomplikowane formalnie. To bardziej narracje liryczne niż zmetaforyzowane, wysublimowane chwytły. To jest świadome. Po prostu z czasem – im jestem starszy, tym bardziej zależy mi na przekazie, a nie formie. To jest też trochę widoczne wtedy, gdy ludzie pytają, który z poetów romantycznych jest mi bliski. Kiedyś odpowiadając na takie pytanie, uświadomiłem sobie, że jak byłem młodszy, to bardzo ważnym poetą był dla mnie Słowacki, a teraz Mickiewicz. Wydaje mi się, że zacząłem w literaturze szukać mądrości zamiast buntu czy szaleństwa. Te wiersze pisane w przeciągu ostatnich lat są trochę nawet – niepokojąco dla mnie samego – proste. Natomiast kiedyś zależało mi bardzo na tym, żeby wiersz był nośnikiem nastroju, żeby oddawał niepowtarzalność jakiejś sytuacji uczuciowej, odcuciowej, filozoficznej, epifanii. To domagało się pewnego skumulowania, no i te wiersze proste nie są. Nawet tacy czytelnicy, którzy byli przygotowani, mówili mi wielokrotnie, że nie wiedzą, o co chodzi.

Forma Pana twórczości nie uległa zmianie z powodu takich komentarzy?

Te wiersze, które napisałem w sposób prostszy, nie są jeszcze wydane. W tym sensie, że część z nich była publikowana w pismach literackich, natomiast moja ostatnia książka poetycka ukazała się 10 lat temu. Nawet nie wiem, czy mi się jeszcze chce męczyć, żeby jakaś kolejna się ukazała, no bo poezji nikt nie czyta, a nie zamierzam chodzić i prosić, żeby mnie wydali.

Zgodziłby się Pan z tym, że kiedyś zależało Panu na abstrakcyjności, pisaniu dla serca, a teraz na pierwszym planie jest rozum?

Zgodziłbym się.

W takim razie, które dzieło Pana autorstwa jest najbardziej Panu bliskie, osobiste?

Zazwyczaj jak ktoś jest artystą – nawet takim na pół etatu, jak ja – to bliżej mu do rzeczy, które stworzył ostatnio. Oczywiście są pojedyncze wiersze sprzed wielu lat, które sobie cenię.

– Nie wiem, czy akurat znajdę go tutaj – mówi, kartkując tomik *Elegia na śmierć szczegółów. Wiersze wybrane*.

Jest taki jeden właściwie. Nie ma tytułu. Zaczyna się od cyferek – „160 kilometrów na godzinę”. To taki bardzo króciutki wierszyk opisujący moją prawdziwą przygodę, czyli sytuację, w której jechaliśmy we dwójkę z Kasią, moją żoną. Ona zasnęła i ja jadąc, dosyć szybko uświadomiłem sobie, że wiozę sen. Ten pomysł przyszedł do mnie w takiej iluminacji. Lubię bardzo taki wiersz, z tych niedrukowanych, który zaczyna się od słów „żyj tak, jakby nie było Boga” i drugi, który z nim rozmawia, zaczynający się od słów „jeśli zakochałeś się w nieistnieniu Boga”. To są takie poszczególne wiersze, które wydają mi się w jakimś sensie istotne z różnych powodów od strony genezy, czy opisywanej sytuacji. Oczywiście czytelnik nie musi tego wiedzieć, ale mam nadzieję, że znaczenie tekstu na niego oddziałuje. Natomiast z rzeczy niepoetyckich no to ta książka, którą napisałem o Zagajewskim Bez utopii? Rzecz o poezji Adama Zagajewskiego. Jest pokłosiem doktoratu, ale jednocześnie to nie są tożsame rzeczy. To nie tak, że po prostu wydrukowali mi doktorat. To wersja rozszerzona, przeinaczona i zmieniona. Udało mi się w niej, mam wrażenie, kilka ważnych rzeczy o twórczości Zagajewskiego powiedzieć, a przy okazji liczę na to, że także o samej literaturze. Natomiast z prozy napisałem taką żartobliwą książkę – trochę lewą ręką przez prawe ucho – ale mi wyszła. Nosi tytuł: *Jak nie zostałem me-nelem (próba autobiografii antyintelektualnej)*. Bardzo ją lubię. Reakcje czytelników są raczej pozytywne. Zwłaszcza tych, którzy mnie znają i widzą, że ten ja w książce jest trochę bohaterem literackim, a nie mną naprawdę. To taka zabawa z autobiografią. No to tyle, ale czy to są ważne rzeczy? Ja nie wiem, ale bardzo je cenię.

Zauważalna jest właśnie tendencja do kreowania postaci na Pana wzór, które nie są przy tym wierną kopią. Przychodzi mi do głowy Spotkanie, kiedy jeszcze nie znaliśmy się.

To jest wiersz autobiograficzny dedykowany Zagajewskiemu. Opisuje coś, co się rzeczywiście stało. Zamierzałem zostać lekarzem. Dokładnie tak, jak jest w wierszu powiedziane. Dlatego, że imponował mi doktor Rieux z *Dżumy*. Uznałem, że bycie lekarzem jest czymś pięknym, bo to jest stanie po stronie dobra, a przeciwko śmierci. Natomiast jednocześnie zawsze miałem jakieś takie inklinacje do literatury. W szkole byłem dyżurnym polonistą w klasie, tzn. ja chyba jedyny się uczyłem polskiego i wszyscy do mnie przychodzili, żebym mówił co i jak mają napisać w pracy domowej. Trafił mi do ręki tom „Zeszytów Literackich” z wierszami Zagajewskiego i poczułem, jakbym dostał pięścią w twarz. Dzięki niemu, albo przez niego, nie zostałem studentem medycyny, tylko zacząłem studiować polonistykę. Więc tak, to jest prawda i to jest bardzo autobiograficzny wiersz. Przeczytałem go publicznie w Białymstoku, jak prowadziłem spotkanie z Zagajewskim i Adam się strasznie uśmieał.

Dlatego powstała dla niego później dedykacja?

Tak, jest pośmiertna.

Powiedział Pan kiedyś, że poezja jest językiem nieżywych. Czy uważa Pan, że najgłębsza, bezosobowa, pełna wszechświata wersja poezji powstaje właśnie wtedy gdy jesteśmy w melancholii albo smutku?

Mój świętej pamięci promotor prof. Handke był wybitnym erudytą, aczkolwiek miał kłopoty z pohamowaniem tej erudycji, więc czasami był męczący, bo gadułą był. Ale bardzo wiele mądrych rzeczy mi przekazał i podczas pewnej rozmowy powiedział: „Panie Jarosławie, prawdziwa sztuka, prawdziwa literatura biorą się z negatywności”. Więc tak, moim zdaniem to, co jest negatywnością: – czy to będzie melancholia, smutek, nieszczęście, cierpienie jest lepszym motorem dla sztuki, a już na pewno dla poezji, a już na pewno dla mojej poezji, niż pozytywność. Zdarzyło mi się napisać różne rzeczy pod wpływem radości, doświadczenia szczęścia, jakiejś epifanii radosnej, ale to procentowo jest jakieś 5 proc., a 95 proc. jest z cierpienia.

Czy wiersze, które czyta Pan najczęściej, też poruszają trudne tematy, są ciężkie do udźwignięcia?

Mam kłopoty z poezją od wielu lat. Mam wrażenie, że gdzieś na początku XXI wieku przestałem rozumieć poezję współczesną. Ja nie wiem, o co chodzi. Nie wiem, po co to jest pisane. Owszem, ponieważ mam kompetencje czytelnicze, to umiem dostrzec warsztat – czy ktoś pisze sprawnie, jest fajnym żonglerem. Tylko bardzo często nie wiem po co.

Z takich młodszych autorów i autorek to bym wybrał ze 2-3 osoby – i to też są mniej więcej 40-latkowie. Na przykład Marta Podgórnik, to jest bardzo dobra poetka. Dobrze pisze. Taką silną kobietą poezję, która nie ma w sobie czułości albo ma tę czułość ukrytą, ale jest ubierana w siłę i brutalność. To jest fajne, że ten podmiot kobiecy mówiący w tych wierszach nie jest chlapiącą, rozlazłą, galaretowatą postacią użalającą się nad sobą, tylko taką trochę prorokinią. Lubię czytać niektóre wiersze Natalii Malek, chociaż potrafi machnąć też takie, w których zupełnie nie wiem, o co chodzi. Muszę pani powiedzieć, że jak czytam facetów, to mam wrażenie, że piszą bełkot. Tak, mam kłopot z poezją współczesną, ale dużo czytam tej klasycznej, np. wracam sobie do Mickiewicza.

Czy poezja teraz wymiera?

Nie uważam tak. Marek Bieńczyk, który jest dobrym pisarzem, eseistą i specjalistą od literatury francuskiej, został kiedyś spytany, czym się różni literatura polska od francuskiej. Powiedział półżartem, że „u nas w Polsce wydaje się 600 tomików poetyckich rocznie, a we Francji 600 powieści rocznie”. Ja jestem w rozmaitych jury, np. Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Ta doroczna nagroda przyznawana jest w kilku kategoriach, np. książki o szeroko pojętej tematyce warszawskiej, proza i poezja. Średnio dostajemy około 700 książek z tych wszystkich kategorii. Najwięcej jest poezji. Więc wydaje się, że poezji jest o wiele więcej od prozy i tu się nic nie zmieniło moim zdaniem. Natomiast może jeśli chodzi akurat o pani rocznik, czy grupę, to poezja jest w mniejszości.

Jako juror jest Pan wystawiony na to, by komentować, a przez to i krytykować. Na zajęciach dosyć smutno wypowiadał się Pan o okresie bycia krytykiem literackim.

Powiem tak: od wielu osób, w tym także autorów, o których pisałem i nawet tych, o których nie zawsze pisałem dobrze, usłyszałem, że byłem dobrym krytykiem, że rozumiejąco czytałem, a jeśli krytykowałem, to słuszne rzeczy, nie byłem cze-

pialski i tak dalej – ale relacjonuję to, co sam usłyszałem. Natomiast powiem Pani szczerze, że ja tego de facto nigdy nie lubiłem i to jest trochę paradoks, że najwyraźniej byłem dobry w czymś, co mi nie sprawiało zbyt wiele przyjemności. Pani może spytać „no to po cholerę żeś się tym zajmował?”. Trochę z przyzwyczajenia, no bo gdzieś tam na studiach zacząłem pisać, publikować i tak to dalej poszło. A jak już zaczynasz coś robić, to potem jest ci trudno z tego zrezygnować, no bo wydawca ci przesyła kolejną książkę, a ty np. jesteś mu winien jakąś przysługę. Są też takie rzeczy. Natomiast, choć wiele osób mówiło mi, że lubiło mnie słuchać i czytać, byłem dobrym czytelnikiem, dobrze opowiadałem o swoim czytaniu i dobrze rekomendowałem, to po pierwsze tego nie za bardzo nie lubiłem, a po drugie bycie krytykiem literackim – jeżeli nie masz jakiegoś bezpiecznika w sobie – jest o tyle niebezpieczne, że możesz ranić ludzi. Z dzisiejszej perspektywy myślę, że abstrahu-
jąc od tych wszystkich komplementów, zdarzało mi się być złośliwym niepotrzebnie, nieprzyjemnym niepotrzebnie. Chodzi o to, co nazywamy złą energią, która jest w każdym z nas. Zamiast ją kontrolować i powstrzymywać, to czasami pozwalałem, aby uwolniła się w tekstach krytyczno-literackich. Dlatego nie bardzo lubię siebie z tamtego czasu.

Skoro robił Pan to tak długo, to musiał wypracować jakiś system. Czy ten wewnętrzny krytyk, którego ma Pan w sobie, pokrywa się z tym zewnętrznym? Czy podchodzi Pan do siebie podobnie, jak do innych?

Nie. Kiedy wchodziłem w rolę krytyka literackiego, to był to taki inny ktoś. Nie czytałem nigdy przez swój pryzmat ani to, jak ja piszę. Mnie patronowało w byciu krytykiem kilka założeń. Pierwsze z nich jest bardzo ładnie opisane przez Jerzego Stempowskiego w jego esej *Pełnomocnictwo recenzenta*. To przedwojenny tytuł, w którym pisze, że krytyk jest wysłannikiem – kimś, kto poszedł przeczytać, żeby innym opowiedzieć. Więc uznałem, że to nie ma być mój popis, załatwianie jakichś spraw, tylko ten, który przeczyta mój tekst, ma mniej więcej wiedzieć, co to za książka, co w niej jest i czy ewentualnie jest to dla niego – czy go zainteresuje, czy jest dobrze napisana, a jeśli nie, to jakie są na to argumenty. Kolejna rzecz, która była dla mnie ważna, to, że krytyk powinien zobaczyć w książce coś więcej niż tylko to, co on widzi tam dla siebie. Możliwe, że osobiście coś z niej dla siebie wzięłem, ale to nie jest najistotniejsze, bo może ona oferuje też coś, co mi nie jest do niczego potrzebne. I to nadal tam jest i dla innego czytelnika może być ważne. To trochę pachnie schizofrenią, ale Klejnocki-pisarz i Klejnocki-krytyk – to Mr. Hyde i Dr. Jekyll.

Mówi się, że recenzje to wyraz subiektywności. Trzeba mieć jakąś wiedzę, ale opisujemy przede wszystkim swoje odczucia. Powstały tekst to świadectwo tego, jak jednostka widzi dzieło, więc jednak zamykamy tam dużo siebie, mimowolnie szukamy czegoś dla siebie w tym, o czym piszemy.

No i słusznie, że tak jest. Nie oczekujemy od krytyka, żeby był obiektywny, bo obiektywna jest sztuczna inteligencja. Natomiast krytyk to osoba z konkretnym bagażem doświadczeń i wrażliwością. Co więcej, ja się koleguję z człowiekiem, który nazywa się Paweł Mossakowski i on był przez wiele lat krytykiem filmowym „Gazety Wyborczej”. Potem poszedł w stronę produkcji filmowej, a teraz sam pisze książki. Znamy, lubimy. Odkryłem między nami ciekawą zależność. Gdy on pisał recenzję filmu i jemu się podobał – ja już wiedziałem, że to jest kompletnie nie dla mnie, a kiedy zjeżdżał film od góry do dołu, natychmiast leciałem kupić bilet i mi się to tak w 90 proc. sprawdzało. Nasze gusty filmowe z Pawłem były kompletnie różne, ale to też jest jakiś porządek. Bardzo mu wierzyłem i czytałem go właśnie dla tego typu doświadczeń. Chociaż niektórym krytykom wierzyłem w drugą stronę. Ich gusty były zbieżne z moimi i ceniłem ich doradztwo (bo recenzja jest poradą). Dodam kolejny przykład. Dariusz Nowacki łączy dwie role: profesora i krytyka literackiego. On pisze złośliwie, inteligentnie, ale złośliwie. Ilekroć przeczytałem recenzję, w której wypowiadał się o książce raczej pozytywnie – nawet jeśli w treści coś krytykował – to mnie się ona potem podobała. Więc brałem pod uwagę jego opinię. Niemożliwe jest, by krytyk był obiektywnym relacjonującym, tylko trzeba znać krytyków, których się czyta i albo im wierzyć, albo nie.

Zauważam w Pana ścieżce krytyka literackiego pewną skłonność do spojrzenia na całość, poza kontekstem percepcji. Nie nazywam tego obiektywizmem, ale widzę zorientowanie na wydobywanie ogólnego sensu. Na przykład raczej chował Pan swój gust czytelniczy w cień, kiedy recenzował książki o szkolnictwie.

Może mi nie podobać się książka, jeśli chodzi o temat, ale potrafię zauważyć, czy jest dobrze napisana, widzę talent autora. Nie ma powodu, dla którego miałbym tego nie docenić, nie przekazać tego czytelnikowi.

Czy to jest zawsze tylko opinia na temat tekstu kultury, czy gdzieś z boku myśli Pan o autorze?

To jest skomplikowana rzecz. Zilustruje to dowcip, nie najlepszy, ale na temat. Rozmawia sobie Polak z Chińczykiem i drugi pyta: „Właściwie to ilu was jest, tych Polaków?”. Na co on odpowiada: „No, gdzieś 38 milionów – w kraju przynajmniej”.

A Chińczyk na to: „A, to wy się wszyscy znacie”. No i coś w tym jest. Jeżeli pracuje się w jakiejś dziedzinie, np. jak w moim przypadku od lat 80. Mam 62 lata, a pierwszy tekst opublikowałem, jak miałem 20. Więc od 42 lat siedzę w literaturze. Po pewnym czasie zna się już wszystkich i to może być kłopot. Wtedy jednych się lubi, a innych nie. To też jest powód, dla którego przestałem pisać krytykę literacką. Jeśli ja kogoś lubię i on wydaje książkę, to martwię się, pisząc recenzję, że będę niesprawiedliwy, pobłażliwy.

Czy tego się od Pana czasem oczekuje?

Niekoniecznie, ale zdarza się tak. Przestałem pisać krytykę literacką, bo to niewdzięczna robota. Gdy pani skrytykuje, to autor czy autorka się obrazi, a jak Pani pochwali, to będzie zarzut, że niedostatecznie Pani chwali. Zawsze będą niezadowoleni. Z drugiej strony – i to było dla mnie chyba najważniejsze doświadczenie – gdy dostawałem książkę kogoś, kogo znam i nie lubię, zacząłem się bać, że mimo kontroli, ten fakt podświadomie wpłynie na to, co będę pisać. To utrudnia. Są dwie szkoły. Jedna mówi, że aby było uczciwie, to krytyk nie powinien się kumplować z artystami, żeby zachować dystans, ten element obiektywizmu. Druga, że jeśli krytyk sam jest artystą i w dodatku się z nimi kumpluje, to jest masakra – też mój przypadek. Ale wtedy ma się więcej narzędzi i jest w stanie zrozumieć stany artystyczne, cierpienie albo egzaltację tego, który tworzy. Więc z czasem we mnie przeważyły we mnie te wątpliwości, że to jest sytuacja niekomfortowa.

Łatwiej jest Panu bronić swojego dzieła, jeśli jest Pan z niego dumny?

Był taki poeta libański Khalil Gibran – to taki ichni Czesław Miłosz – który napisał poemat pod tytułem Prorok. Jest tam taki wstrząsający fragment mówiący o relacji między dziećmi a rodzicami. Gibran pisze do rodziców mniej więcej tak: „nie jesteście właścicielami swoich dzieci”. Potem buduje piękną metaforę, że dziecko jest jak strzała, a rodzice jak łuk. Stwórca z równą miłością patrzy na strzałę, która zostaje z łuku wypuszczona i leci w swoim kierunku, jak i na łuk, który ją wypuścił. Dokładnie tak samo jest w moim przekonaniu z tym, co napiszę. Nie jesteśmy właścicielami naszych dzieł. W momencie, kiedy książka powstanie, ja już nie mam nic do powiedzenia. Teraz jest Pani rola. Pani ma to przeczytać, przyjąć, odrzucić, olać, wyrzucić. Ja absolutnie nie mam żadnej potrzeby tłumaczenia tego, co napisałem, ani bronięcia, jeśli ktoś powie „no beznadziejne”. No i dobra, jak tak uważa, to nie ma problemu.

Czyli ma Pan do swoich dzieł swobodne podejście i takie komentarze nie podburzają niczego w środku. Z czego to wynika?

Tak. No może ze starości. Gdy byłem młody, to trochę bardziej czułem się zraniony, gdy ktoś mnie krytykował, ale nie pamiętam, żebym jakoś wchodził w polemiki na temat własnej twórczości. Zresztą na warsztatach na licencjacie doradzam młodym pisarzom, że jeżeli autor zaczyna publicznie kłócić się o to, co napisał, to trudno sobie wyobrazić bardziej żenującą sytuację i zazwyczaj w ten sposób nie zdobywa się sympatii czytelnika.

Chodzi o kłócenie się o swoje dzieła czy tłumaczenie ich?

O jedno i drugie – takie jest moje zdanie.

Czasem trudno jest oddzielić krytykę wiersza od krytyki osoby, która go stworzyła. Poezja to właśnie otwieranie się, dzielenie sobą.

Bycie artystą to jest publiczne obnażanie się – wszystko jedno, czy jesteś malarzem, czy poetą. Jak jesteś poetą, to nawet bardziej. Zawsze zadaję takie ćwiczenie domowe studentom, żeby sobie wyobrazili sytuację, że wyjście z książką np. poetycką to trochę tak, jakby się nago stało na ulicy i zaczęło czytać swoje wiersze. Trzeba być na to przygotowanym, okiełznać swój wstyd, odważyć się na to. Jeśli nie jesteś na to gotowym, nie ma po co tego robić. Oczywiście panuje takie przekonanie, że relacja pomiędzy autorem a bohaterem lirycznym jego wiersza jest bardzo ścisła – wiersze są w jakimś stopniu objawieniem intymności autorskiej. Pod warunkiem, że dany autor uprawia lirykę bezpośredniego zwierzenia. Bo można pisać też wiersze, w których buduje się pewnego rodzaju zaporę emocjonalną. Natalia Malek tak uczy. Pokazuje, jak pisać wiersze w zimny sposób, żeby nie dawać czytelnikowi „kuszenia”, żeby zaczął widzieć tego konkretnego człowieka w jego wierszu. Myślę, że poniekąd mi się udaje trochę tak i trochę tak. Jeśli chodzi o wiersze, to wiele z nich jest zmyślonych – nie powstały z tego, co naprawdę przeżyłem czy poczułem, ale poruszają jakąś sprawę. Mam taki wiersz o tureckim charakterze, o tym, że bohater siedzi na rynku Starego Miasta w Sarajewie. On siedzi w środku tego Starego Miasta i ma tam jakieś przemyślenia odnośnie siebie, historii i tak dalej. To jest pisane w pierwszej osobie liczby pojedynczej. No i osoba, która mnie zna i czytała ten wiersz, powiedziała do mnie: „Ale przecież ty nigdy nie byłeś w Sa-

rajewie”. A ja na to: „No i co z tego? Kto ci powiedział, że to ja tam siedzę?”. Są też wiersze napisane moją krwią. Ale to nie jest w żaden sposób zaznaczone i czytelnik nie wie, czy dany wiersz jest bardziej z głowy, konceptu czy przeżycia.

Czy wiara jest dla Pana tematem niewygodnym?

Nie, dlaczego? Osobiście uważam, że wiara nie powinna być tematem dyskursu publicznego. Na przykład politycy deklarują taką albo inną postawę – czy chodzą, czy nie chodzą do kościoła. Kogo to obchodzi? To mnie akurat żenuje. Taka demonstracja religijności. Natomiast uważam, że wiara i metafizyka jak najbardziej mogą być tematami sztuki, a nawet powinny być.

Zauważyłam, że rozdział „Twój ojciec” z wierszami poświęconymi córkom ma nawiązania do Boga. Czy rodzicielstwo popchnęło Pana w stronę duchowości?

Wera jest naszą biologiczną, pierworodną córką, a mieliśmy kłopoty. Jesteśmy starymi rodzicami, miałem ponad 40, a Kasia 35 lat, kiedy nam się urodziło dziecko. Myśleliśmy, że nie będziemy mieli dzieci, nie dawano nam nadziei. To był rodzaj cudu – nie w kategoriach religijnych, ale czegoś niespodziewanego. Podczas chrztu Wery – co mi było obojętne, ale rodzinie zależało – przy nabożeństwie ksiądz czytał fragmenty Listu św. Jakuba. Tam pada takie określenie „szukajcie skarbu w Dniu Ostatecznym” i ja wtedy zobaczyłem w iluminacji całą poetycką książkę. Wróciłem do domu i ją napisałem. To jest książka o cudzie rodzicielstwa i boskości dziecka, dlatego używałem słownictwa sakralnego. Ale to nie tak, że to się wiąże jakoś z moją postawą religijną. Ona ewoluowała. Jak większość Polaków w PRL-u chodziłem na religię do kościoła, bo wtedy nie było jej w szkole. Mnie się wydawało, że mam dość duży potencjał wrażliwości religijnej, jak byłem dzieckiem, a potem coraz bardziej mi to przechodziło i gdzieś tam też ewoluowało. Jeszcze w latach 90. mam wrażenie, że bliżej mi było do agnostycyzmu – wydawało mi się, że istnieje jakiś rodzaj siły wyższej, ale potem nawet to mi przeszło. I dlatego dzisiaj wyższa jest mi etyka buddyjska niż chrześcijańska. Nie jestem praktykującym buddystą, nawet mnie trochę śmieszy ich liturgia, zwłaszcza estetyka, bo jest strasznie kiczowata. Natomiast są rzeczy w buddyzmie, które bardzo mi się podobają i między innymi to, że nie jest religią. Tam nie ma de facto ani boga, ani panteonu bóstw. Budda nie jest bogiem, tylko mędrce, który naucza. Jest taka ładna przypowieść Buddy o religii. Pytano go kiedyś, czym ona jest i odpowiedział: „religia jest jak tratwa. Jeżeli musisz przepłynąć rzekę, to przepływasz, ale będziesz ciągnął za sobą tratwę na drugim brzegu? Przepłynąłeś, więc ją zostaw”. Więc ja zostawiłem.

Czyli duchowość, sens odnajduje Pan w wyższych stanach świadomości?

Nie. Nie ma żadnej wyższości. Jest pustka. Nic nie ma. Nie ma żadnego życia i żadnego boga.

Czyli jest „tu”?

Tak, a potem nie ma nic.

Jeżeli „nie ma nic”, to zależy Panu na byciu zapamiętanym?

Nie.

A dlaczego akurat wiersze? W nich bardzo łatwo zostawić część swojego serca. Niejako podarować ją innym.

Niech Pani tego nie odczyta jako chęć uniknięcia odpowiedzi, ale ja już nie wiem. Kiedyś to było tak, że miałem potrzebę ekspresji artystycznej i ona jest, myślę, takim pierwotnym doświadczeniem każdego artysty. Chcesz powiedzieć coś od siebie, o sobie, o świecie, ale poza językiem codziennym. Kiedyś to było moim powodem, a dziś to już chyba przyzwyczajenie.

Zdarza się Panu poprawiać swoje wiersze, czy może po postawieniu kropki są już bytem skończonym?

Bardzo rzadko. Mam dwa notatniki i bardzo często pomysły lub frazy w nich zapisuję. Mam brudnopisy wierszy, ale jeśli nie jestem do nich przekonany, to nie pracuję nad nimi dalej, tylko czekam. Co więcej, mam też folder w komputerze z wierszami, którym nie ufam. One są niby skończone, ale coś mi tam nie gra, więc sobie leżą w czyścicu. Czasami tam zaglądam, albo wracam, gdy mi się przypomną. Zdarza się, że jakaś fraza pojawia się w moich myślach i jest puzzlem, dzięki któremu dany wiersz staje się gotowy. Natomiast jeśli chodzi o wiersze sprzed lat, to ja już nie pamiętam człowieka, który to napisał. Już nic w nich nie zmieniam, bo trochę bym się czuł, jakbym coś Słowackiemu zmieniał.

A gdyby nikt nie czytał, to pisałby Pan tak samo?

Tak. Język mi się zmienił bardzo, ale nigdy nie miałem – w kontekście twórczości własnej – wielkiej potrzeby wyjścia do ludzi, z wierszami zwłaszcza. Prawdę powiedziawszy, debiutowałem, jak miałem dopiero 30 lat (książki poetyckie). To się odbyło w taki sposób, że przyjaźniłem się z Wojciechem Wenclem i on kiedyś nocował u nas w domu i zobaczył, że mam całą szufladę wierszy. Spytał, czemu ich nie wydaję i zaczął tak mnie męczyć, że dla samego spokoju poszedłem i je dałem do wydania. Nigdy nie traktowałem tego jako formy zaistnienia publicznego.

Nadal ma Pan potrzebę bycia wiernym sobie? Niezależnie od odczuć i oczekiwań z zewnątrz?

To są dwie kwestie. Pierwsza jest taka, że nie wiem, czy w ogóle potrafiłbym napisać coś, co by się ludziom podobało. Nie jestem artystą na tyle sprawnym technicznie, że umiałbym zrealizować zamówienie. Może jestem na to zbyt leniwy. A druga kwestia jest taka, że mi się wydawało przez wiele lat, że wierność sobie i wierność ogólnie jest ważną rzeczą. Ale w ostatnich latach zdarzyły mi się takie rzeczy, że nie dochowałem wierności w rozmaitym tego słowa znaczeniu. Chyba jestem niegodny, żeby mówić o wierności, ale nigdy nie traktowałem literatury jak rodzaju usług dla ludności.

Rozmowę przeprowadziła Abigaila Kruszyk

Redakcja:

Abi Kruszyk, Aleksandra Iwaszko, Aleksandra Orzeszek, Aleksandra Rajczyk, Julia Potynko, Kacper Orzech, Olga Sapiechowska, Wilhelm Burdon

Korekta:

Julia Adamus, Kalina Rukat, Małgorzata Kalinowska, Marcin Gościcki

Skład:

Agnieszka Stelmach, Kacper Orzech

Projekt okładki:

Anna Fidos

<https://magazynschody.pl/>